

Rafał Gawin

Anarchistyczno-ekologicznie- -feministyczny thriller bez elementów czarnej komedii czyli Olgi Tokarczuk mowa noblowska typowo polska (analiza bez syntezy)

„Mowa trawa z prawa, mowa trawa z lewa,
murawa się rozrasta, kiedy się podlewa”.
Luxtorpeda, *Mowa trawa*

„Ludzie będą się kiedyś wstydzić,
że ich przodkowie jedli mięso”.
Olga Tokarczuk, za: www.tvn24.pl

„Ludzkość przeszła długą drogę w sposobach przekazywania i współdzielenia własnego doświadczenia” – czyta Olga Tokarczuk bez czułości gdzieś w trzeciej godzinie wykładu noblowskiego. A nie jesteśmy nawet w połowie. Rozpoczyna od rozważań o czarno-białym zdjęciu i cała przemowa jest równie statyczna i nudna. Począwszy od doświadczenia tęsknoty do kogoś, kogo nie ma – i my tęsknimy do kogoś takiego, kto mógłby nas chociaż w elementarnym stopniu zainteresować, albo chociaż rozbawić. Czułość, powszechnie podnoszona i chwalona, niewiele tutaj rekompensuje, bo sama – jak wywód noblistki – wyrasta z literackich, historycznych, antropologicznych i psychologicznych banałów. Dlaczego?

„Każde fabularyzowanie jest przejściem od pytania – »Co było potem?« do próby jego zrozumienia opartej na naszym ludzkim doświadczeniu: »Dlaczego tak się stało?«. Literatura zaczyna się od owego »Dlaczego?«, nawet jeśli mielibyśmy na to pytanie odpowiadać bez przerwy zwyczajnym: »Nie wiem« – konstatuje Tokarczuk 30 akapitów wcześniej, potencjalnie skromnie i w duchu mowy poprzedniej laureatki Nagrody Nobla, Wisławy Szymborskiej, która zaznaczała: „Natchnienie, czymkolwiek ono jest, rodzi się z bezustannego »nie wiem«”. Konstatuje, by dalej wyprowadzać jedną wielką i bardzo subiektywną definicję „wiem”. „Wiem, choć nie wszystko powiem”.

Ale po kolei, zanim do meritum. Możliwe, że było wam łatwiej, albowiem oglądaliście transmisję na żywo z wypiekami na twarzy i chłoniliście każde słowo niczym Nową Ewangelię. I nie mogę mieć pretensji. Przecież Nobel jest wydarzeniem o skali światowej. Wielkim sukcesem kraju, z którego dana laureatka się wywodzi, niezależnie od tego, na ile się do siebie wzajemnie przyznają. Nobel w danej dziedzinie ustawia nowy poziom jej równowagi, i jest to zawsze wyższy poziom. Przyczynia się do rozwoju tej dziedziny, nawet jeśli to literatura zapomniana i traktowana po macoszemu przez co najmniej jedną czwartą populacji (tylu Polaków, według badań, nie przeczytało w 2018 roku zupełnie nic).

I możemy tak ciągnąć tę listę wind do lepszego świata, pokazywać tendencyjnie tendencje i z banałów budować kalendarze sentencji i pobożnych życzeń na 2020 rok. Problem jest jednak poważniejszy. I to na kilku planach. Gdy w Polsce ktoś osiągnie sukces: czy to regularnie będzie oddawał dwa równe skoki, czy stanie na czele kościoła, czy wreszcie zorganizuje poważne zastrzyki pieniężne dla podupadającej medycyny, od razu zostaje obwołany wielkim lub wielką, następuje też jego/jej szybka kanonizacja. Staje się postacią krystalicznie czystą, a nawet jeśli popełnia błędy, to *ad maiorem Dei gloriam*, w kontekście swojej niepodważalnej boskości.

Oczywiście, w dobie politycznych podziałów, czyli zawsze, tak twierdzą jedynie (polityczni) zwolennicy danej postaci/ekolożki-teoretyczki/pisarki. Kumuluje on/ona również wiele energii przeciwnej, wizualizującej się głównie przez mniej lub bardziej anonimowy hejt internetowy albo umoralniające tyrady oburzonych stanowieniem nowego porządku świata (New World Order, co zaznaczam – antyśpiskowo – nieprzypadkowo, w imię coraz cieplejszego pacyfizmu). W stylu: nie czytałem, nie widziałem, bo nie chcę mieć z tym nic wspólnego, albowiem powszechnie wiadomo, że to jest złe i zepsute, sprzeciwia się constansowi wartości, które zawsze będą stanowić punkt odniesienia.

Prawdopodobnie problem jest szerszy i dotyczy Słowian w ogóle, ich kompleksów wielkości i związanej z tym odwiecznej megalomanii: stąd ci wszyscy przywódcy-dowódcy-wieszczowie w krajach byłej Jugosławii. Nieomylni, bo namaszczeni; namaszczeni, bo nieomylni. Mający wartość niczym pieniądź przy postępującej deflacji, którego siła nabywcza może tylko rosnąć. W Polsce mieliśmy ten problem przede wszystkim z Janem Pawłem II, który – siłą pontyfikatu (rozpatrywanego przeważnie z pozycji konserwatywnych) – był wybitnym intelektualistą, filozofem, poetą i dramatopisarzem. Ale też dysponowaliśmy noblistą niemalże kompletnym, sprawdzającym się w praktycznie każdych warunkach – Czesławem Miłoszem.

Wróćmy do tegorocznego Nobla. Nie będę, niczym Filip Springer, krytykował „gargantuicznego rozmachu bankietu noblowskiego”. O zgrozo – mięsnego! Nie będę, niczym bloggerki modowe i zazdrosne fejsbukowiczki, wyżywał się na kreacji Tokarczuk (od Gosi Baczyńskiej), w której odebrała nagrodę; swoją drogą – sprytnie nawiązującej do stroju Marii Skłodowskiej-Curie. To jakaś małostkowa hipokryzja i jednocześnie, acz coraz mniej paradoksalnie, brak zrozumienia dla cynicznej natury otoczki podobnych laurów: możemy się przeciwstawiać wyzyskowi kapitalizmu i negatywnemu wpływowi człowieka na „planetę”, ale robimy to „na bogato”, z odpowiednim uderzeniem.

Nie zamierzam też roztrząsać „emancypacyjnego” charakteru samego Nobla, odzyskiwania przez kobiety należnego im miejsca w kulturze i literaturze. To bardzo zbawienne, ale ile można. Niech to będzie, jak przyznała Tokarczuk, „ukłon w stronę sufrażystek oraz Selmy Lagerlöf, pisarki i działaczki na rzecz praw kobiet, która równo 110 lat temu odebrała własną Nagrodę Nobla” (Avanti24.pl). Szanuję. Do Lagerlöf w swojej mowie nawiązał również Miłosz, wspominając jej *Cudowną podróż*. Zresztą, można by usmażyć wege-eko-femiesej o podróży do wnętrza Ziemi, tej Ziemi. Z najczulszym narratorem, na jakiego stać ten coraz gorszy świat.

Koniec dygresji. Skupię się wyłącznie na *Czującym narratorze* Tokarczuk. Niezależnie od jakości i nośności literatury uprawianej przez Tokarczuk – w moich lub bardziej renomowanych oczach. Niezależnie od mojego stosunku do tego Nobla (cieśzę się, jako Polak niekatolik, ale sam prawdopodobnie wybrałbym inaczej). W analizie korzystam z tekstu mowy opublikowanego na oficjalnej stronie Nagrody Nobla.

Tytułowym bohaterem tekstu jest najpewniej dusza ze *Zgubionej duszy* – jak chcą znawcy literatury, choćby Michał Nogaś – książki Tokarczuk dla dzieci wydanej

w 2017 roku. Narodził się z opowieści radiowych, słuchanych przez matkę pisarki – jak chce Ireneusz Grin (o czym na Onet.pl pisała Katarzyna Janowska).

Oto więc mamy świeżo upieczoną noblistkę i jej mowę – tekst bardzo szczególny. Jak go widzą inni? Zebrałem kilkanaście charakterystycznych i znamiennych opinii (w kolejności nie do końca przypadkowej):

„Wykład Olgi Tokarczuk wygłoszony w sobotę w Sztokholmie prowokował do myślenia i był świetnie sformułowany. (...) Pisarce udało się wyjaśnić, dlaczego literatura jest ważna w czasach cyfrowej kakofonii” („Svenska Dagbladet”, cytata za: www.tvn24.pl). „Mowa noblowska Tokarczuk to morze inspiracji” (Ewa Wachowicz, „Wprost”). „Niezwykle mądra, piękna, filozoficzna, pełna czułości noblowska mowa. Czuję głęboką wdzięczność, podziw, wielki szacunek. Każdy powinien to usłyszeć” (Maja Ostaszewska, Facebook). „Tekst okazał się rewelacyjnie pojemny. To wielka sztuka, że bardzo różni czytelnicy mogli się w nim odnaleźć, różne jego fragmenty poruszały czule struny, choćby połączenie literatury i właśnie czułości” (Justyna Sobolewska, Polityka.pl). „Słuchając Olgi, poczułam, że jestem w oku świata, w miejscu czulego patrzenia i rozumienia skomplikowanych i odległych powiązań, które Olga nie tylko przeczuwa, ale przetapia je w literackie byty i kształty. Niesamowity, alchemiczny moment przepostaciowania się świata w opowieść” (Katarzyna Janowska, Onet.pl). „Esej *Czuły narrator* zyskał miano niezwykle przejmującego, emocjonującego, a zarazem delikatnego. Absolutnie zgadzamy się z tym stwierdzeniem” (Joanna Twaróg, Glamour.pl). „Dlaczego warto obejrzeć wystąpienie Olgi Tokarczuk? Dlatego, że trafia w sedno, zachwyca i skłania do przemyśleń” (Karolina Reszkowska, Ofeminin.pl). „Mowa noblowska Olgi Tokarczuk w mistrzowskim stylu podejmuje (...) całą serię zagadnień, które dotyczą każdego z nas. To jeden z najważniejszych tekstów kultury co najmniej tej dekady”; „to przejmująca modlitwa w intencji umierającego na naszych oczach świata” (Przemysław Dobrzyński, Spidersweb.pl). „Poloniści przekonują, że odczyt noblowski można podawać jako przykład wzorcowego eseju lub wykorzystać do zadań z czytania ze zrozumieniem” (www.tvn24.pl).

Ponadto, Mariusz Szczygiel już tworzy analogie z – nomen omen – papieżstwem: „To, co zobaczyłem w Rzymie, łączy mi się z wykładem noblowskim Olgi Tokarczuk. O czułości, o wrażliwości, o tęsknocie, o tym, że ten świat tak pędzi i nie wiemy, dokąd zmierza. I ja tam, w Rzymie, zobaczyłem taki czuły Kościół” (Wyborcza.pl). Piękna polska świecka tradycja. Katarzyna Kantner, najbliższa Tokarczuk badaczka jej twórczości, w programie *Xięgarnia*, poświęconym Noblowi (TVN24, odc. 322), nie ma wątpliwości: „Bardzo piękna jest ta mowa przez ten etyczny wymiar pisania, jaki się z niej wyłania”. Wtórkuje jej Michał Rusinek, kładąc na szali swój językoznawczy i krytycznoliteracki autorytet: „Zrobiła prywatną teorię literatury”. I jeszcze, na dokładkę, efekciarska riposta Agnieszki Kublik na łamach Wyborczej.pl: „Wiadomości TVP, czyli nieczuły barbarzyńca, pomija Nobla dla Tokarczuk”. Tak.

Oczywiście, powyższym peanom towarzyszyły mniej lub bardziej zgryźliwe komentarze tak zwanych pravicowych publicystów, o politykach partii rządzącej i partii bardziej skrajnej, sejmowej, nie wspominając. Nie cytuję ich tutaj, ponieważ mają niską wartość merytoryczną. Wątpliwościami dzielił się jeszcze (na Facebooku) Artur Nowaczewski, jednak znalazł dla nich wygodne wytłumaczenie: „mam wrażenie, że broniąc literatury, jej prawa do fikcji, do wyobraźni, podkreślając jej ważność, niezastąpioną i prawo do snucia opowieści, pisarka występuje też w mojej obronie, mojej indywidualnej wrażliwości, jakakolwiek by była, i w jakimś stopniu stara się bronić przed pogardą mój zawód, kogoś, kto szeroko pojętą literaturą się zajmuje”. Marzy mi się, żebym mógł podpisać się pod tymi słowami z jakimkolwiek przekonaniem.

nim i bez pogardy dla zbyt szybkich wyroków i opinii, jakie ferują sądy koleżeńskie, które lubią świecić światłem odbitym i ogrzewać się w czyimś blasku.

Tymczasem ledwie przez ten wykład przebrnąłem. A tutaj przychodzi zamówienie na analizę, polemiki ustawiają się w kolejce, presja rośnie. Czytam więc kilkanaście razy tekst tej „mowy obronnej” – i wciąż się nie broni. Jest długa i przewlekła: ponad 15 stron znormalizowanego wydruku komputerowego: prawie 41 tysięcy znaków (ze spacjami), ponad 5700 słów, 90 akapitów. Ale jednocześnie daje niedrogi nadzieje niczym ekologiczne dopalacze – fajerwerki bez huków o przyjaznym dla środowiska rozbłysku: co najmniej 50 banałów.

Sama autorka usprawiedliwiała się już wcześniej psychologiczną niemierzalnością: „Wierzę, że uznawanie czegoś za oczywiste wcale nie wiąże się z kwestią faktów, lecz raczej umowy społecznej i przyzwyczajień naszego umysłu, tym samym należy bardziej do dziedziny psychologii niż fizyki” (*Moment niedźwiedzia*). Tak, to zdecydowanie banalnie proste: wystarczy uwierzyć w ducha (intelektu).

Ależ gdzie tutaj banały? To przecież kopalnia pomysłów na literaturę. Swoista *ars poetica* autorki. Gabinet figur niewoskowych, w którym gwiazdy tańczą na głodzie: od figury fotografii, poprzez figurę eklezjasty, figurę narratora i figurę plemiennego opowiadacza, po figurę klimatu. Wykorzystam instrumentalnie Nowaczewskiego: „w mowie noblowskiej Olga Tokarczuk chciała zmieścić wszystko; odpowiedź na główne zagrożenia współczesności, diagnozę na temat statusu literatury w dzisiejszym świecie, kryzys klimatyczny, własne rozumienie duszy, refleksje o narracji pierwszoosobowej i serialach, sprzeciw wobec zawężających spojrzenie gatunków literackich i wiele innych wątków” (Facebook). Studium fragmentaryzacji dyskursów, w którym wyciągnięta dłoń Michela Foucaulta zamienia się w palec, niekoniecznie wskazujący. Ciąg przyczynowo-skutkowy i relacja wiedzy z władzą zrywają się, ponieważ ich nie ma: noblistka dopiero szuka mostów. Może w tym pomóc plemienny opowiadacz, który potrafi stworzyć jakąś wspólnotę. W imię apokatastazy: przywrócenia całości – nauczania nas na nowo wychodzenia poza własny egoizm (jak chce Kantner, dz. cyt.). Toteż, wynikająca z czułości, empatia. Tokarczuk mówi o tym od lat: „Mnie się wydaje, że empatia jest pewnym rodzajem wyobraźni” (*Błąd w oprogramowaniu świata – z Olgą Tokarczuk rozmawia Justyna Sobolewska*; „Polityka” nr 45/2009). A nawet idzie dalej, projektując systemy: „W naszej Heterotopii wszystkiego uczy się jako hipotez. Nieustannie ćwiczy się różne punkty widzenia na to samo, trenuje się zmienianie poglądu, broni się przeciwstawnych sądów. Skoro poznanie zmysłowe i intelektualne okazuje się tak niepewne, rośnie znaczenie innych jego rodzajów – wyobraźni i empatii. Osoby, które wychodzą z takich szkół, widzą raczej procesy, nie stany. Nie istnieje nic takiego jak stała i monolityczna osobowość. Ludzie zmieniają imiona w ciągu swojego życia i wciąż inaczej interpretują własną biografię. W sensie metafizycznym panuje tutaj zupełnie nowy rodzaj holistycznej, panteistycznej duchowości, przy czym duchowość rozumiana jest jako nieustanne i faktyczne (nie zaś rytualne) konfrontowanie się z niepoznawalnym” (*Moment niedźwiedzia*).

I tak to się snuje, i jest wyjaśniane intuicyjnie, empatycznie i czule, czyli niewiarogodnie i nielogicznie; w ostateczności: psychologicznie czy nawet hermeneutycznie. Mam za dużo dysonansów poznawczych. Indywidualnie, w odniesieniu do projektowania przez Tokarczuk (własnego) wychodzenia poza „ja”. Czy, jednocześnie, egoizmem nie jest próba stworzenia narratora totalnego? Czy pisarz może nie być egoistą w ogóle? Czym więc jest, podjęta przez Tokarczuk w mowie, próba ogarnięcia zagrożeń dzisiejszego świata i uwzględnienie w ich kontekście roli literatury?

Ale, znowu, po kolei: sam wpadam w format tokarczukowski, mnożąc wątki, dygresje i zestawiając niekoniecznie spójnie fragmenty. Uporządkujmy pytania,

wątpliwości i zarzuty w siedmiu punktach – grzechach głównych mowy, korzystając wyłącznie z jej żywego mięsa:

1. Długość

Już bez ironii: te godziny jednostajnego gadania. Próbowaliście wysłuchać tego za jednym podejściem? Handke, któremu odmawia się czci i wiary, bo jest politycznie niepoprawny, prezentował się brawurowo. Zaskakiwał. Nawet jeśli (również) nie omijał mielizn, perforował przekonywająco. A u Tokarczuk, abstrahując od innych grzechów, nuda. Nie nuda Prousta, nie Bernharda, nie nawet Pessoa. Zwykła polska nuda (złośliwi powiedzieliby: jak zwykle): pseudoantropologiczna, pseudomagiczna, pseudometafizyczna. Nuda poszukiwaczki, która po latach żmudnych ekspedycji z triumfem ogłasza: nic nie znalazłam! Przepraszam, jeśli kogoś uraziłem: ja się po prostu tak nie bawię. Przeczytałem jeszcze raz po latach mowę Wisławy Szymborskiej (ok. 10 900 znaków, ponad 1600 słów, 20 akapitów), przeczytałem mowę Czesława Miłosza (ok. 23 800 znaków, ponad 3400 słów, 30 akapitów). I można inaczej: zdrowiej i pełniej, a przede wszystkim krócej. Z jednej strony skromność i klasa, z drugiej wszechwiedza, ale jakże usprawiedliwiona, doświadczona i przeżyta na niewyimaginowanych frontach. U świeżo namaszczonej noblistki – jakies dziwne pomieszanie z poplątaniem tych dwóch postaw, łączonych na siłę, umownie, bardzo chybliwymi mostami.

Niby mówi bardzo dużo o literaturze jako doświadczeniu (nawet jeśli za dużo), co samo w sobie jest uczciwym podejściem do tematu, a wręcz zawiera pewną odmianę skromności: nawet jeśli chwali się warszatem, to z pozycji emocji: empatii i czułości. Niby powtarza jakby za Szymborską: „marzy mi się...”, ale brakuje jej zdziwienia, jakiejś formy pokory wobec katastrofy przyszłości. O braku pewności co do świata Tokarczuk mówi z pełnym przekonaniem. Jakby to „obok”, niewyraźalne i nienazywalne „więcej”, metafizyka skrzyżowania kultur i religii załatwiała kwestie „nie wiem”. Jakby to, czego nie ma, po prostu było (gdy zdanie „Jestem nieobecna” zaczyna się od „jestem”), bez naturalnej potrzeby nazywania tego. Bo tak. W myśl zasady: „Może właśnie na tym polega rola artystów – dać przedsmak tego, co mogłoby istnieć i w ten sposób sprawić, że mogłoby ono stać się wyobrażonym”. Zasady zbyt wygodnej i łatwej, by pod jej patronatem często powstawała dobra i wiarygodna literatura.

Niezależnie od zasad, zagadywanie i przegadywanie nie służy żadnemu tekstowi, a już zwłaszcza wyobraźni, na którą w natłoku słów zwyczajnie nie starcza miejsca. Mowa Szymborskiej pozostawiała spory niedosyt – że chciało się z nią obcować ponownie, sięgać po wiersze poetki. Nawet Miłosz ograniczył się do pewnego optimum, w granicach finezji i wytrzymałości odbiorcy. Tokarczuk zwyczajnie przesadziła.

2. Nadmiar tematów i wątków

Naliczyłem 28 wątków, jeśli pewnych powrotów, zapętleń i powtórzeń nie uwzględniłem więcej niż raz, a pewne nieścisłości i braki precyzji nie sprawiły, że fragmenty tego samego tematu odrywam od siebie i nie znajduję dla nich wspólnego mianownika. Ile można? 28 statycznych fotografii, pociętych i posklejanych niekoniecznie wzdłuż linii cięcia. Zdjęcie, o którym mówi się na początku, ta odwieczna próba zatrzymania dzieciństwa, stanowi też swoistą przestrożę: tekst będzie wielokrotnie – w sposób jednostajny i monotony – podejmował próbę zatrzymania punktów odniesienia dla siebie. I, wielokrotnie, będą się one mieszać, i – konsekwentnie trzymając się metaforyki fotograficznej – prześwieślać. Jak pisała o *Księgach Jakubowych* Barbara Rowińska-Naruszewska, a co możemy odnieść do mowy, bio-

rać niewielką poprawkę na jej charakter: „Wielowątkowość i multiperspektywiczność powinna wzbogacać, zaciekawiać i pobudzać do myślenia, a nie przytłaczać, dezorientować i wręcz usypiać mentalnie” (Latarnia-morska.eu).

Ale przecież ma chodzić o *fabulae interruptae*, jak, za Szeherazadą, tłumaczy (się) Tokarczuk. Wskazuje seriale jako główny motor napędowy ewolucji sposobów opowiadania. Metodę tworzenia na miarę naszych czasów: aby wiecznie dziwić, zaskakiwać, puentować, ale i mieszać szyki, kluczyć, odpuszczać i powtarzać (konkretne i niekonkretne wątki). Przecież wszystko stanowi jedną całość, czas jest względny, więc skutki mają prawo wyprzedzać przyczyny.

3. Problemy z ciągiem przyczynowo-skutkowym

Miałem ten zarzut sformułować mocniej, ale kolejne lektury nakazują mi oddanie noblistce, co noblowskie: wywód jest względnie płynny. Ba, na poziomie eseju i braku jego jednoznacznej definicji, obroni się każda „forma literacka lub literacko-naukowa, prezentująca punkt widzenia autora” (co podają za umiłowaną przez Tokarczuk Wikipedią). A ten punkt ściśle określa autorka już na początku, mówiąc o matce i tęsknocie do nieobecnego, które jest: „Wyniosła bowiem moje istnienie poza zwyczajną materialność świata i przypadkowość, poza przyczynę i skutek oraz prawa prawdopodobieństwa”. Ponadto, noblistka wieszcy to, co już robi, choćby w tej mowie: „Może to, co nieuchronnie nas czeka, to jakiś neosurrealizm, na nowo rozłożone punkty widzenia, które nie będą się bały zmierzyć z paradoksem i pójdą pod prąd wobec prostego porządku przyczynowo-skutkowego”.

Dlaczego więc mowa jest niespójna? Ponieważ rzeczywistość jest niespójna, potrzeba nowego porządku opartego na bałaganie. Problem w tym, że można tak powiedzieć o wszystkim i znaleźć wytłumaczenie dla każdego braku sensu. Zresztą znamy to z książek noblistki: „Historia jego życia pełna jest takich przypadków, ale ponieważ wciąż nie wiadomo, czym jest przypadek, można z czystym sumieniem rozgrzeszyć się z nadużywania zasady, że jeżeli coś się zdarza, to właśnie samo zdarzenie się jest dla siebie najlepszym uzasadnieniem” (*Podróż ludzi Księgi*). Albo jak w opowiadaniu *Numery z Szafy*: „Ale to rzeczywistość jest Opatrznością i jeżeli dzieje się tak, jak się dzieje, to zapewne ma to jakiś głęboki sens”. I już. Po co szukać konsekwencji, tracić czas na ingerencję?

Jeszcze na początku pisarskiej kariery Tokarczuk zauważała, że „zawsze działała ta sama zasada: miasta zostawione samym sobie i sztucznemu, wewnętrznemu czasowi, nie porządkowane, nie naprawiane, degenerowały się i popadały w niszczenie, posłuszne wszechobecnej i nieśmiertelnej entropii” (*Deus ex Szafie*). Co się stało później? Co przeważało? W rozmowie z Nogasiem („Książki” nr 12/2019) pisarka przyznaje, że najbardziej lubi wymyślać historię i postacie; jednak tej pierwszej nigdy nie zamyka, czeka, aż te drugie same zaczną mówić. Najmniej lubi dopracowywać pomysły, pracować nad poszczególnymi zdaniem. To właśnie widać, jeśli chodzi o mowę noblowską.

W utopijnym marzeniu o (nowej) całości pojawia się czułość względem fragmentu: „Może powinniśmy zaufać fragmentowi, jako że fragmenty tworzą konstelacje zdolne opisać więcej i w bardziej złożony sposób, wielowymiarowo”. W sumie Tokarczuk ma rację (abstrahując od tego, że to banał, a o nich później): gdy się zestawi dowolny zbiór fragmentów, siłą rzeczy (martwych) i czytelnicznych interpretacji, powstanie wielowymiarowa całość – wiele efektów motyla naraz, wszystko w ciągłym ruchu.

Tylko jak to się ma do jednej z ostatnich konstatacji tekstu: „Chciwość, brak szacunku do natury, egoizm, brak wyobraźni, niekończące się współzawodnictwo, brak odpowiedzialności sprowadziły świat do statusu przedmiotu, który można

ciąć na kawałki, używać i niszczyć”? Który świat możemy sobie bezkarnie fragmentaryzować?

4. Pomieszenie wysokiego z niskim, jakby do siebie nie pasowały

Że pasują, wiemy od lat. Że popkultura, postmodernizm i inne, skompromitowane przez doktorantów kulturoznawstwa i literatury, terminy.

Zastanawiam się tylko, jak wiarygodnie ukazać tę niekompatybilność wysokiego z niskim u Tokarczuk. Obawiam się, że to Herbertowska kwestia smaku. Drażniący styl, gdzie „ktoś”, „coś”, „gdzieś” i „kiedyś” miesza się z teoriami naukowymi, definicjami krytycznoliterackimi, elementami mitów „kanonicznych” oraz prywatnych i bardzo subiektywnych intuicji. Ponadto, „zardzewiałe i anachroniczne stare narracje próbuje się wprzęgnąć do wizji przyszłości, może wychodząc z założenia, że lepsze stare coś niż nowe nic, albo próbując w ten sposób poradzić sobie z ograniczeniem własnych horyzontów”. Zresztą mamy tu wręcz modelowy przykład zastosowania „czegoś” i „niczego”.

I rozumiem, że na naszym polskim podwórku taka poetyka wypowiedzi może być uznawana za oryginalną. I biorę poprawkę także na moje bardzo ograniczone zaufanie do podobnego, „magicznego” stosowania niedopowiedzeń i przemilczeń, zwłaszcza w prozie, nawet tak gatunkowo luźnej i meandrującej.

Do rozwinięcia tego wątku przydałaby się osobna rozprawa, na miarę Katarzyny Kantner *à rebours*. Niemniej może akurat taka mowa, funkcjonująca bardzo osobno, a mająca – z racji okoliczności powstania – słuszne pretensje do znalezienia się w szerszym obiegu, a nawet w oderwaniu od twórczości jej autorki, pokazuje problem w jednej silnej pigułce.

5. Brak ironii

No właśnie. Praktycznie jakby ironia nie istniała, a zastąpiły ją empatia i czułość, pomieszone z egzaltacją i ekliwacją. Powaga rodem z książek dla dzieci, kalendarzy i luźnego wykładu naukowego, którego autorka woli nie żartować, a nawet nie ironizować, jakby obawiała się, że takie zabiegi mogą odebrać jej słowom odpowiednią rangę.

Dla części twórców to jakiś ideał, optimum, do którego dąży się przez całe pi-sarskie życie: odciąć się od najbardziej oczywistych i podświadomie sterujących nami kategorii poznawczych i warsztatowych (mówił o tym np. poeta Dominik Bielecki).

Tylko jak przekonująco mówić przez godzinę na jednym diapazonie? Jak się obronić bez choćby nieznaczących mrugnięć okiem? Przy wyliczaniu niebezpiecznych poglądów – „ziemia jest płaska, szczepionki zabijają, ocieplenie klimatyczne jest bzdurą, a demokracja w wielu krajach nie jest zagrożona” – powieki Tokarczuk, dosłownie i w przenośni, nie drgnęły nawet przy ostatniej części zdania. Zresztą to zdanie jest tak skonstruowane, że raczej ma wykazać troskę, niż piętnować. Czy to postawa godna noblistki? W pewnym sensie, jeśli przyjmujemy anachroniczne kategorie „wysokiego” i „niskiego”. Miłosz, w swoich czasach, mógł tak przemawiać; Szyborska w latach 90. wiedziała i czuła, że z podobnych balonów dobrze spuszczać powietrze. A Tokarczuk nic a nic? Obawiam się, że to szerszy brak zaufania do podobnych, wydawałoby się naturalnych, zabiegów. Jeszcze nie noblistka w rozmowie z Sobolewską o *Prowadź swój pług przez kości umarłych* (Polityka.pl) stawiała pewne granice: „Cenię ironię, uważam, że jest najlepszym probierzem inteligencji, ale używana ponad miarę, na przykład do obśmiewania rzeczy, które są ważne i bolesne, staje się złą inteligencją”.

Brak poczucia humoru uczciwie zostawiam poza obszarem krytyki: po prostu mogę mieć inne. Choć przy tak bezironicznym podejściu do materii słowa autorki *Domu dziennego, domu nocnego* mogę żywić uzasadnione podejrzenia, że humor w tej mowie nie został zaplanowany.

6. Banały i brak elementu novum

Powtórzę: ponad 50 banałów. I zero nowości. Bardzo mi przykro, ale to clue tekstu, clue mojej krytyki.

Nowaczewski trafnie streszcza *Czułego narratora*: „wykład opowiada o potrzebie literatury, jej pogoni za niewyraźnym, o tym, że jest niezastąpiona i może być drogą do drugiego człowieka, ofiarować mu bezinteresowną czułość. I tyle”. „I tyle” brzmi znamienne; akurat autor tych słów chciał raczej podkreślić, że „tyle” może wystarczyć, w znaczeniu: tak mało. I owszem, tylko czy w takiej formie?

W tej myśli nie ma nic nowatorskiego. I z tym nie byłoby problemu – wykład noblowski z założenia to swoiste *résumé*, nikt nie ma prawa wymagać nie wiadomo jakich odkryć od osoby, która właśnie otrzymała najbardziej prestiżowy laur w zawodowej karierze. Ale pisarka, której twórczość została tak wiekopomnie doceniona, mogłaby jednak poważnie zredukować liczbę banałów, jakimi raczy czytelników – już teraz – z naprawdę całego świata. Mogłaby o literaturze mówić w duchu innej czułości – precyzji, reakcji na bodźce (3. i 4. znaczenie „czułości” w sjp.pwn.pl). Same emocje po prostu nie są dobrymi doradczyniami w tej szczególnej chwili.

Taki np. Miłosz, nie stroniąc przecież od wrażeń i afektów, potrafił literacko i historycznie wybrnąć, tworząc świeże, sugestywne metafory: „Niech mi będzie wybaczone obnażanie pamięci jako rany”. I dalej: „Pamięć jest więc tą naszą, nas wszystkich z »innei Europy« siłą, ona to chroni nas od mowy owijającej się sama o siebie, jak bluszcz owija się o siebie, kiedy nie znajduje oparcia w murze albo pniu drzewa”.

A Tokarczuk? „Coś jest ze światem nie tak” (*sic!*). I jeszcze: „To poczucie, zarezerwowane kiedyś tylko dla neurotycznych poetów, dziś staje się epidemią nieokreśloności, sączącym się zewsząd niepokojem”. I sama w sobie „epidemia nieokreśloności” mogłaby stać się trafną diagnozą kondycji (nie)moralnej dzisiejszej jednostki (jednak) ludzkiej, gdyby tak celnie nie podsumowywała całego wykładu, gdyby nie uzasadniała tak daleko idącej dowolności w formułowaniu tekstu, nie usprawiedliwiała jego niedociągnięć niedociągnięciami świata.

Mamy tu do czynienia z dwoma problemami. Po pierwsze – sugestie, że w literaturze można wszystko i wszystko da się uzasadnić i usprawiedliwić, gdy znajdzie taka potrzeba: filozofią, antropologią i psychologią, a z nich trzech największa będzie ta ostatnia. Po drugie – wiele fragmentów mowy jakby stanowi podsumowanie jej niedopracowania, powierzchowności, niespójności i swoistej przypadkowości, i dzieje się tak raczej nieintencjonalnie. Jakby autorka, w obliczu Nobla, uważała, że może wszystko, niczym charyzmatyczna eklezjastka, budująca wielkie parabole. Bo jeśli to ma być przykład na równoczesne toczenie kilku narracji, istnienie tej (nieszczęśliwej) tkaniny świata, „którą przedziemy codziennie na wielkich krosnach informacji”, to ja wolę być bezdomnym w nowojorskim metrze, noszącym nieprzepuszczającą powietrza, nieekologiczną folię. Zresztą przecież samo metro, przemieszczając się ze stacji początkowej do końcowej, nie robi tego w próżni czy „magma rzeczywistości”: potrzebne są kolejne stacje, konkretne miejsca, w których da się bezpiecznie wsiąść.

I prawdą jest (nie bójmy się tego słowa), że „ten, kto ma opowieść, rządzi”. I ten, kto rządzi, prędzej czy później poniesie konsekwencje braków lub nadmiarów sprawowania władzy, co niniejszym zaznaczam i buńczucznie piętnuję.

Ale też nie dajmy się zwariować. Banał to tylko banał, nawet podniesiony do rangi elementu mowy noblowskiej. Jest szkodliwy chyba wyłącznie pod jednym wzglę-

dem: przy idealistycznym podejściu do obowiązujących systemów nagród i kar zapatrzony w laureatkę czytelnik może założyć, że skoro jakaś treść pojawia się w tak istotnym przemówieniu, to znaczy, że musi być ona wystarczająco pogłębiona. Przecież noblist(k)a ma rację intelektualną; to dogmat.

Nawet jeśli omawia się problematykę narracji powieściowych na przykładzie seriali. Co z tego, że to powtórka z rozrywki? I choć czystej i bezpretensjonalnej, to uproszczonej zgodnie z możliwościami przeciętnego widza, czyli niekoniecznie od razu czytelnika przynajmniej składu produktu przeznaczonego do szybkiego spożycia. Gdy dzięki narracji pierwszoosobowej „literatura stała się (...) polem wymiany doświadczeń, agorą, gdzie każdy może opowiedzieć swój własny los albo dać głos swojemu alter ego”.

Czy motorem napędowym tego wątku może być narrator „czwartoosobowy”? Jako „punkt świadomości” (jak chce Kantner)? Jako bezustanne *Deus ex machina*? Definicja Tokarczuk nie pozostawia wątpliwości: „Widzieć wszystko oznacza też zupełnie inny rodzaj odpowiedzialności za świat, ponieważ staje się oczywiste, że każdy gest »tu« jest powiązany z gestem »tam«, że decyzja podjęta w jednej części świata skutkuje efektem w innej jego części, że rozróżnienie na »moje« i »twoje« zaczyna być dyskusyjne”. *Nihil novi*; to jest po prostu narrator wszystkowiedzący, charakterystyczny dla literatury pięknej od niepamiętnych czasów, który nie potrzebuje do działania pozagramatycznej osoby. Chyba że dobra zmiana miałaby tu polegać na nazwaniu narratora od nowa. To znowu podejście życzeniowe, oparte na myśleniu magicznym. Cud się jednak nie zdarzył.

Tak samo jak nagle nie zmieni się geneza podziału gatunkowego literatury. „Być może, żeby nie utonąć w wielości tytułów i nazwisk, zaczęliśmy dzielić ogromne lewiatanowe ciało literatury na gatunki, które traktujemy jak dziedziny w sporcie, a pisarzy i pisarki jak wyspecjalizowanych zawodników”. To już nawet nie jest naiwność. Nielewiatanowe ciała polskich genologów i genolożek, w tym Stefanii Skwarczyńskiej na czele, przewracają się w grobach. Ale Tokarczuk idzie dalej w mieszanin角度 z zakresu literatury stosowanej i wolnego rynku: „Podział na gatunki jest wynikiem skomercjalizowania całej literatury i efektem traktowania jej jako produktu do sprzedaży z całą filozofią brandu, targetu i tym podobnych wynalazków współczesnego kapitalizmu”. Podobne uproszczenia i przesunięcia nie służą niczemu; powodują tylko jeszcze większy chaos pojęciowy, i to tam, gdzie terminologia wydaje się wyjątkowo czytelna i zdroworozsądkowa również dla humanistycznego laika.

Przy okazji autorka *Biegunów* „zauważa”, na czym polega tzw. literatura gatunkowa: „Coraz częściej (...) przypomina foremkę do ciasta, która produkuje bardzo podobne rezultaty, ich przewidywalność uważana jest za cnotę, ich banalność za osiągnięcie. Czytelnik wie, czego ma się spodziewać i dostaje dokładnie to, co chciał”. Oczywiście oczywiste oczywistości. Już abstrahuję od foremki o nadprzyrodzonych zdolnościach kreatywnych i produkcyjnych – wszak Tokarczuk nie od dziś nobilituje status ontologiczny przedmiotów.

A efekt motyla? Jest powszechnie znany i lubiany. Również jako system. Wzajemne zależności są fundamentem podstaw fizyki czy chemii, nie wspominając o biologii. To wiedza elementarna. Tymczasem Tokarczuk odkrywa planetę Ziemię niczym obca: „to już nie tylko słynny »efekt motyla« (...), ale nieskończona ilość motyli i ich skrzydeł, ciągle w ruchu. Potężna fala życia, która wędruje poprzez czas”. Nawet sam Miłosz był bardziej powściągliwy i perspektywiczny: „natomiast ogarnąć rzeczywistość tak, żeby zachować ją w całym jej odwiecznym powikłaniu zła i dobra, rozpacz i nadziei, można tylko dzięki dystansowi, tylko wznosząc się nad nią –

ale to z kolei wydaje się moralną zdradą”. Inna sprawa: czy naprawdę do analizy efektu motyla potrzebujemy mowy Tokarczuk? Czy ci wszyscy nauczyciele, którzy teraz na gwałt szukają nowych tematów lekcji, ryzykując niezrealizowanie coraz bardziej napiętego programu, nie słyszeli o tym wcześniej?

W wykładzie pojawia się, delikatnie mówiąc, banalne zestawienie skali mikro ze skalą makro, dotyczące niepoliczalnej ilości form nieustannie do siebie nawiązujących: „Nasz układ krwionośny przypomina systemy dorzeczy rzek, budowa liścia jest podobna do systemów ludzkiej komunikacji, ruch galaktyk – wir spływającej wody w naszych umywalkach. Rozwój społeczeństw – kolonie bakterii”.

A kwestie problemów z klimatem? Siłą sukcesji Tokarczuk odbija się od Miłosza, który mówił: „A szczególnie trudno było opierać się rozlicznym pokusom na tych obszarach Europy, gdzie zwyrodniałe idee panowania nad ludźmi niby nad Naturą doprowadziły do paroksyzmów rewolucji i wojny, kosztujących niezliczone miliony ludzkich istnień, zabijanych fizycznie czy duchowo”. I Tokarczuk, poza powtórzeniem oczywistej od ładnych kilku lat zbitki „kryzys klimatyczny” („i polityczny”), nie dodała w tej materii niczego konkretnego, mimo że to jej temat i stan wiedzy w jego zakresie potężnie ewoluował. Jakby pisarka odpuściła tam, gdzie wydaje się najsilniejsza. Tak samo w kwestii „i polityczny” nie rozwinęła myśli; jakby wolała nie igrać z hipotezą, że to Nobel „w obronie zagrożonej demokracji”, a nie za tworzenie literatury o wybitnych walorach artystycznych. Celowo pomijam wątki dotyczące polskiego antysemityzmu i polskich tradycji kolonialnych, obecne w wypowiedziach różnych noblowskich notabli. To, znowu, przyczynki do polemik o innym charakterze.

W mowie Tokarczuk chwali Wikipedię. To trochę jak pochwała demokracji, a przez mniej krytycznych i bardziej hipokrytycznych uczestników fundowanej i refundowanej przez państwo kultury – wolnego rynku. Trochę jak pochwała przykładów Boba Dylana autorstwa Filipa Łobodzińskiego – lepsze najgorsze nawet, jeśli inne, na taką skalę, nie powstały.

Nic dziwnego, skoro Tokarczuk również w powieściach z Wikipedii korzysta – pamiętam wypunktowane fragmenty *Ksiąg Jakubowych*, których źródłową postać można było znaleźć udostępnioną na licencji Common Files. Niestety, opracowanie już z sieci zniknęło. Zresztą sama pisarka zaznacza to wprost, w tym samym dziele, w sentencji na miarę Érica-Emmanuela Schmitta: „Przepisywanie jest jak szczepienie drzewa; cytowanie – jak wysiewanie nasion”.

W mowie Tokarczuk chwali seriale. Też oglądam. Też potrafię się zachwycić. Tylko co one zmieniają w postrzeganiu literatury teraz? Nie, nie „jesteśmy świadkami powstania nowego sposobu opowiadania świata, jaki niesie ze sobą serial filmowy”. Seriale powstają od prawie 90 lat (w Polsce od 55). Owszem, zmienia się sposób narracji, jej dynamika, ale to są niezmiennie seriale. Inaczej się z nimi obcuje, bardziej totalnie: ogląda się całe sezony naraz, jak chce już nie tylko Netflix, nie czeka się na kolejny odcinek.

Banał za banał: literatura podupada, odkąd pojawił się Internet. Seriale – gęsto, i owszem, dostępne przez sieć – tylko ją dodatkowo orzą. Tyle że nie we wszystkich krajach UE i spoza. Niestety, dostępne statystyki Eurostatu kończą się na roku 2011. Przed Netflixem. Serwis Picodi.com opublikował wyłącznie dane dotyczące 41 krajów, uwzględniające procent obywateli, którzy w ostatnim roku kupili co najmniej jedną książkę; i Polskę wyprzedzają takie potęgi serialowe, jak Argentyna, Brazylia, Chile, Kolumbia, Peru, Turcja i Indie, a za Polską znalazły się chociażby Niemcy. Natomiast w przypadku średniego czasu poświęcanego lekturze dziennie (badanie World Economic Forum z 2018 roku) Polskę w Europie pokonała tylko Estonia (13 do 12 minut). Można sobie budować hipotezy, oparte na intuicjach, przeczuciach i afektach, kreować alternatywne światy mitów. Rzeczywistość będzie nieubłagana.

Ponadto, w odniesieniu do produkcji seryjnych właśnie, w rozmowie z Kingą Dunin (*Tokarczuk: wszystko boli*, Krytykapolityczna.pl) noblistka, w dość niepojębiony sposób, szukała równowagi dla „dobrej duszy”: „Także pewną naiwność, prawda? Dziś chyba nikt już nie chce być dobrą duszą, wszyscy woleliby być cynicznymi cwaniakami z seriali. Może i mam te cechy, w każdym razie mój awatar, którego wysyłam do pisania – te cechy posiada”.

Tokarczuk widzi szanse i zagrożenia związane z funkcjonowaniem WWW: „za sprawą Internetu prawie każdy może brać udział w tym procesie, odpowiedzialnie i nieodpowiedzialnie, z miłością i nienawiścią, ku dobru i ku złu, dla życia i dla śmierci”. Nie da się tego ukryć. Naprawdę trzeba to jeszcze gdzieś podkreślać niczym w przemowie niedoświadczonego politycznego kaznodziei? Nawet członkowie Komitetu Noblowskiego, którzy przekroczyli setkę, zdążyli to odkryć we własnym zakresie. W końcu „kiedy zmienia się ta opowieść – zmienia się świat”.

Cała mowa jest tak właśnie skonstruowana, jakby jej autorka bezskutecznie próbowała uchwycić zmiany świata, a brak powodzenia tłumaczyła niemożliwością uchwycenia tych zmian z racji ich nieskończoności i pozostawiania ich elementów składowych w ruchu, w licznych, również niezbadanych, relacjach i procesach, także wzajemnie się wykluczających. Przy tak postawionym problemie możemy puścić wodze fantazji, nie przejmując się żadnymi konsekwencjami. Będzie, co ma być, gdy nawet zupełnie nic nie zostało zaplanowane.

Internet – w sumie działający zgodnie z prawami, jakie Tokarczuk postuluje dla całego świata i dla literatury, czyli bezprawnie, acz na bazie współodczuwania – wymyka się autorce wykładu o omniscjencji: „poddany zupełnie bez refleksji procesom rynkowym i oddany graczom-monopolistom, steruje gigantycznymi ilościami danych, które wykorzystywane są całkiem nie »pansoficznie«, ku szerokiemu dostępowi do wiedzy, ale przeciwnie, służąc przede wszystkim programowaniu zachowań użytkowników”. Jaka tu mogłaby się pojawić refleksja? Jakie nieomijalne i respektowalne regulacje treści, nie licząc redukcji tych najbardziej ekstremalnych? Jak przeciwdziałać merkantylizmowi w merkantylnym świecie? Jak przeciwdziałać wykorzystywaniu psychologii przeciwko użytkownikom jakiegoś systemu, jeżeli – jak wnosi Tokarczuk – wszystko jest w pierwszej kolejności psychologiczne?

Jest recepta, tak, tak – postulowana przez Tokarczuk czułość. Jak wypada na tak zarysowanym tle? „Czułość jest tą najskromniejszą odmianą miłości. To ten jej rodzaj, który nie pojawia się w pismach ani w ewangeljach, nikt na nią nie przysięga, nikt się nie powołuje. Nie ma swoich emblematów ani symboli, nie prowadzi do zbrodni ani zazdrości. Pojawia się tam, gdzie z uwagą i skupieniem zaglądamy w drugi byt, w to, co nie jest »ja«”.

Czyli, po prostu, idzie o odwieczne „traktuj drugiego tak, jak sam chciałbyś być traktowany”. Chrześcijańskie pojęcie miłości bliźniego i ponadreligijny szacunek dla drugiego człowieka, którego nie należy krzywdzić. Więc, niestety, mogę jedynie powtórzyć za *Biegunami*: „Moja wrażliwość jest teratologiczna, monstrofilalna. Mam nieustanne i męczące przekonanie, że właśnie tutaj prawdziwy byt przebija się na powierzchnię i ujawnia swoją naturę. Nagle, przypadkowe odsłonięcie. Wstydlive »ups«, rąbek bielizny spod starannie uplisowanej spódnicy. Metalowy, ohydny szkielet wyłazi nagle spod aksamitnego obicia; erupcja sprężyny z pluszowego fotela, która bezwstydnie demaskuje iluzję wszelkiej miękkości”.

Tymczasem wszyscy tylko czułość i czułość. Euforia czułości, eksplozja czułości. Czułość w kościołach, czułość w bramach, czułość pod Kopcem Kościuszki. Nie mam cienia – widziałem – choć się nie oglądałem. Tylko czy i w tym przypadku, nie odmawiająca słuszności noblistce A.D. 2018, możemy z pełnym przekonaniem powiedzieć,

że dowiedzieliśmy się czegoś nowego? Nauczyliśmy? O sobie, o „planecie”, a nawet o czułości? Mamy tematy na setki lekcji z uczniami/praktykantami/warsztatowcami? A może po prostu udajemy, bo tak wypada? Bo tego wymaga czułość? Radość z polskiego sukcesu? W ogóle – z sukcesu literatury jako takiej, w tym peryferyjnym kraju zmarginalizowanej poza granicami intelektualnej przyzwoitości?

Sama czułość to za mało – tu zgodzę się, o zgrozo, z krytykującymi mowę politykami i publicystami (z czego pewnie wyciągniecie tendencyjne wnioski). No chyba, że chodziłoby o precyzję, reakcję (o czym wcześniej) i zrozumienie: czytanie, słuchanie i przyjmowanie do wiadomości – razem wzięte, zintegrowane i wdrożone w ramach akcji „inteligencja emocjonalna jako częśćka inteligencji ogółem” i „otwarty i tolerancyjny umysł kluczem do poznawczego sukcesu”. Ale nie chodzi. To tylko najbardziej podstawowe zwrócenie uwagi na drugiego człowieka. Oczywiście, że jest niezwykle potrzebne, ale czy to ma być główna konkluzja wykładu noblowskiego? Jesteśmy w kościele gdzieś pod Opolem (że złośliwie sparafrazuję wypowiedź Tokarczuk, o której później)? To chyba nie ten kaliber pisarskich ambicji. Choć, z drugiej strony, autorka *Prawieku i innych czasów* ma na koncie i takie kwiatki (świętego Franciszka): „anielska czułość, miłosne współczucie – jest to jedyne uczucie, jakie żywią anioły”. To w końcu czułość czy kłiwłość?

I jeszcze porcja banałów natury ogólnej, którymi mowa jest inkrustowana. Nawet gdybym chciał, nie wyrwę ich z kontekstu, ponieważ same dla siebie są kontekstem, zresztą w myśl strategii twórczej Tokarczuk, by wszystko ze wszystkim łączyć, ponieważ „opowieść zawsze zatacza kręgi wokół sensu”. Tylko je przytoczę, bezsilny wobec niszczącej siły noblowskiego autorytetu: „Jest to fenomen na wielką skalę także i dlatego, że dzisiaj powszechnie potrafimy posługiwać się piśmem i wielu ludzi osiąga tę kiedyś zastrzeżoną dla nielicznych umiejętność wyrażenia siebie samego w słowie i opowieści”. „Lecz nade wszystko żyjemy w świecie natłoku informacji sprzecznych ze sobą, wzajemnie się wykluczających, walczących na kły i pazury”. „Świat umiera, a my nawet tego nie zauważamy. Nie zauważamy, że świat staje się zbiorem rzeczy i wydarzeń, martwą przestrzenią, w której poruszamy się samotni i zagubieni, miotani czyimiś decyzjami, zniewoleni niezrozumiałym fatum, poczuciem bycia igraszką wielkich sił historii czy przypadku”. „Dziś ta opowieść musiałaby być dużo bardziej wielowymiarowa i skomplikowana. Wiemy przecież rzeczywiście o wiele więcej, znamy niesamowite powiązania rzeczy pozornie odległych”. „Jesteśmy wszyscy – my, rośliny, zwierzęta, przedmioty – zanurzeni w jednej przestrzeni, którą rządzą prawa fizyczne”. „Tworzenie opowieści jest niekończącym się ożywianiem, nadawaniem istnienia tym wszystkim okrucuchom świata, jakimi są ludzkie doświadczenia, przeżyte sytuacje, wspomnienia”.

I skonstruję słowami z tej samej mowy: „Marzą mi się wysokie punkty widzenia i szerokie perspektywy, w których kontekst wykracza daleko poza to, czego mogliśmy się spodziewać”.

7. Hipokryzja polskości

Najcięższy zarzut, jaki można postawić pisarce-kosmopolitce, poszukującej ponadczasowych i ponadnarodowych narracji, wielkiej utopii literackiej wspólnoty dusz. A jednak. Tokarczuk chce mówić o rzeczach globalnych, a wciąż odnosi się do lokalnych. Z jednej strony efekt motyla pisarka tłumaczy na przykładzie „odkrycia” Ameryki. Wychodzi, niczym typowa przedstawicielka Polski zakazanej American Dream, od kompleksu USA. Miłosz, w 1980 roku mieszkający już w Stanach, był od tego wolny – w centrum postawił (znowu dezawuowany) pakt Ribbentrop-Mołotow. Szyborska darowała sobie takie wycieczki nieosobiste. I o ile podział na Zachód

i Wschód, ukonstytuowany żelazną kurtyną, jaka zapadła w 1945 roku, zwłaszcza z perspektywy Europy rezonuje do dziś w kontekście rozpatrywania centrum iperyferiów świata, o tyle wyprawa Kolumba i wymordowanie Indian są dla nas coraz mniej istotne. I naprawdę: zakłęcia Tokarczuk – że wszystko wszędzie ma znaczenie, bo świat to siatka wielostronnych i wzajemnych wpływów – na mnie nie działają. To, dosłownie, zaklinanie rzeczywistości, ba – unikanie odpowiedzialności za swoje czyny i zaniechania.

Z drugiej strony Tokarczuk kończy mowę odpowiedzią na zadane (w duchu, ale bez duszy Szymborskiej) pytanie „Dlaczego?”: „Dlatego wierzę, że muszę opowiadać tak, jakby świat był żywą, nieustannie stawającą się na naszych oczach jednością, a my jego – jednocześnie małą i potężną – częścią”. Abstrahuję od użycia tutaj „jedności”, na siłę scalającej fragmentaryczny wywód. Zwracam uwagę na „jednocześnie małą i potężną”. Nie ze względu na efekciarski charakter takiego zestawienia ani kolejną próbę zmierzenia się ze wszystkim, czyli z niczym (nie mylić z podobno szanowaną przez noblistkę szlachetną pustką). Czyż to nie jest klasycznie polskie dążenie do wielkości wynikające z małości? Jak podaje Natalia Szostak (Wyborcza.pl), po wygłoszeniu mowy Tokarczuk miała (w końcu) zażartować: „Wyobraziłam sobie, że przemawiam w bibliotece w Opolu. I jakoś poszło”. No właśnie, to tutaj bardzo znamienita analogia. Dlaczego atakować porządne polskie biblioteki? Nie są wystarczająco światowe? Czy to znowu nie wynika z tej nieszczęsnej polskości, która – im bardziej wypierana światowo, tym silniej zaściankowo uwiera?

„Wygląda na to, że poeci będą mieli zawsze dużo do roboty” – kończyła przemówienie Szymborska. Skromnie, bez kompleksów. Miłosz natomiast przyznał, uwzględniając przede wszystkim swoje przemijanie i jednocześnie wychodząc z siebie: „Mam nadzieję, że ten odczyt, mimo meandrów myśli, co jest zawodowym nałogiem poetów, pokazuje wyraźnie moje »tak« i »nie«, w każdym razie tam gdzie chodzi o sukcesję. Bo wszyscy, którzy tu jesteśmy, i mówca, i słuchacze, stanowimy jedynie ogniwa pomiędzy przeszłością i przyszłością”.

Siedem braków cudów mowy. A wiemy na pewno jedno: Tokarczuk nie potrafi wyjść poza swoją narrację. Miesza wątki i porządki, a gdzie brakuje ciągu przyczynowo-skutkowego, jej wielbiciele widzą magiczne przejścia między wymiarami. Bo przecież ona tak pisze zawsze. Bo przecież omawiana rzeczywistość nie jest spójna, na przekór temu, że „wysiłki naukowców, próbujących lepiej rozumieć naszą rzeczywistość, ukazują ją jako wzajemnie spójną i gęsto powiązaną sieć wpływów”.

A może Tokarczuk chce, by było jasno i czytelnie? Może przemawia do różnych elektoratów? Buduje tekst na różnych poziomach? To byłby jakiś trop, gdyby było jasno i czytelnie. I gdyby były różne elektoraty. Widzę jednak jeden, do którego adresowany jest wykład: zagorzali czytelnicy pisarki, wymieszani z piewcami nieomyślności kapituł literackich laurów. Wśród mniej pilnych i zainteresowanych ta mowa tylko mnoży wątpliwości co do sensu. Swojego sensu.

W tym kontekście silnie rezonuje, i to co najmniej na dwóch planach – odbiorców komunikatu i samego komunikatu – fragment *Ksiąg Jakubowych*: „Aszer Rubin uważa, że większość ludzi jest głupia i że to głupota ludzka sprowadza na świat smutek. Nie jest to grzech ani cecha, z którą się człowiek rodzi, ale zły pogląd na świat, błędna ocena tego, co widzą oczy. W rezultacie ludzie postrzegają wszystko osobno, każdą rzecz w oderwaniu od pozostałych. Prawdziwa mądrość to sztuka łączenia wszystkiego ze wszystkim, wtedy wyłania się właściwy kształt”. Tak, „prawdziwa mądrość” prowadzi do bałaganu – poznawczego i fabularnego. Bałaganu osobności, które na domiar złego nie są w żaden sposób osobliwe. To ja już poproszę

uporządkowany zbiór tematów osobnych – przynajmniej będę miał się do czego odnieść, choćby w jednym kolorze, ale o sprecyzowanej nazwie.

I na zwieńczenie złotych myśli jedno z dziesięciu najważniejszych zdań roku 2019, według Nogasia (Wyborcza.pl), a należące do Tokarczuk: „Ludzie, którzy nie czytają powieści, zwykle widzą świat w bardziej czarno-biały sposób”. Noblistka nie od dziś ma predylekcję do tworzenia kalendarzowych bon motów. To błogosławieństwo i przekleństwo. A fotografia z mowy? Świadoma rezygnacja z kolorów? Świadome budowanie koalicji i opozycji? A ten, o którego mowa ma się upominać – czytelnik? Znowu w sukurs przychodzi twórczość pisarki: „Poczuł się jak opuszczone dziecko, jak grudka ziemi rzucona na pobocze drogi. Leżał na wznak w szorstkiej i nieuchwytniej teraźniejszości i czuł, że z każdą sekundą rozpada się w nicłość razem z nią” (*Prawiek i inne czasy*).

Widok, który oglądam na koniec, jest, niestety, banalny. „Wszystko się ze sobą łączy”. „Nic nie jest takie, jakie się wydaje”. „Chcę wiarygodnej całości”. „Chcę wszystkowiedzącego i wszystkoodczuwającego narratora”. „Fikcja jest zawsze jakimś rodzajem prawdy”. Mogę tak sobie parafrazować i lepić, szukać mostów między *zawsze fragment* a *nigdy fragment*. Powtarzać się i przetwarzać. Za chwilę nic z tego nie zostanie, a mowa przetrwa wyłącznie dlatego, że była noblowska; to taka ponadczasowość z urzędu.

Tylko czy nie zasłużyliśmy na więcej, że ucieknę w nie mój esej? „Literatura pokazuje nam, że jesteśmy dużo bardziej do siebie podobni, niż nam się wydaje” (*Olga Tokarczuk dla Onetu: nie było lepszego momentu, żeby dostać Nobla*, rozmawia Emilia Padoł). Nieistotni, bo tymczasowi – tymczasowi, bo nieistotni. Prości, egocentryczni, hipokrytyczni, konformistyczni, nastawieni nawet nie na „ja”, ale wręcz na „jaja”, zdwojone „ja”, zdiagnozowane w kultowej piosence Kur. Do czego również, nie tylko między wierszami, przyznaje się nieskromny autor niniejszej czulej krytyki nietowarzyszącej.

Jednak chyba zasłużyliśmy.

Uwagi i wyjaśnienia:

Powyższy tekst pisałem, nie uwzględniając roli redaktora/ki, zgodnie z zasadą, że to autor odpowiada za swój tekst, zwłaszcza gdy wygłasza go osobiście.

Szczegółowe przypisy możecie odtworzyć, wpisując słowa i hasła-klucze w Google.

Cytaty z książek Olgi Tokarczuk – znaleźć, sięgając po wydania papierowe bądź e-booki. Również szukając ich poza cudzysłowami. Również sprawdzając choćby „Karola Kota” Marcina Świetlickiego.

Mowy noblowskie – odszukać na stronach związanych z Nagrodą [dostęp: 19 stycznia 2020 roku].
Dane liczbowe: http://appsso.eurostat.ec.europa.eu/nui/show.do?dataset=cult_pcs_bke&lang=en;

<https://www.picodi.com/pl/mozna-taniej/kupowanie-ksiazek-w-polsce-i-na-swiecie>; <https://www.weforum.org/agenda/2018/05/chart-of-the-day-where-europeans-read-the-most-and-least>

[dostęp: 19 stycznia 2020].

Tokarczuk często mówi o dwóch największych grzechach: konformizmie i hipokryzji (por. rozmowa z Tomaszem Stawiszyńskim, *Tropem herezji*, „Tygodnik Powszechny”, 19 października 2014;

Olga Tokarczuk o Pokocie i o tym, że świat stał się brzydki, Polityka.pl).

Tytuł tekstu jest przetworzonym cytatem z wypowiedzi Agnieszki Holland na temat braku przyporządkowania gatunkowego filmu *Pokot*.

redakcja ‘eleWatora’ zaprasza do polemiki z tekstem Rafała Gawina
najciekawsze, najoryginalniejsze głosy
opublikujemy na łamach naszego kwartalnika